

# Bałam się o śledzicia

Małgorzata  
Kalicińska\*

Kilka lat temu moje życie wywróciło się do góry nogami.

Niedawno moja przyjaciółka, którą wzięło na wymyślanie, napisała mi tak:

Wyobraź sobie – jest rok 2000, jadę do ciebie na Mazury, do szczęśliwej mamci, żony i współwłaścicielki firmy reklamowej, i opowiadam Ci, jak to za jakiś czas zbankrutujesz, zaryjesz nosem o dno, będziesz zanosić się płaczem i wyć do księżycy, ale potem napiszesz sześć książek i znajdziesz nową miłość w Korei Południowej – ty sobie wyobraź takie spotkanie! Widok Twojej ówczesnej miły – bezcenny! Ha, ha, ha!

O, tak! Nade wszystko wystraszyłabym się potężnie, że moja przyjaciółka ma fiksum-dyrdu (jak się dawniej mawiało na pospolitego świra), poza tym, jakbym już ochłonęła i zastanowiła się głębiej nad tą przepowiednią, zestrachalabym się o tę stratę, bankrutstwo. Okropne wieszczenie! A po trzecie – K o r e a?! Eeeee, nie. Żadnych zmian – do brze mi na Mazurach!

Napij się, Asiu, zimnej wody albo zrób sobie okład na główkę!

## Życie jest wykretne!

Tak dokładnie się stało. W 2004 roku na Mazurach już wiedzieliśmy, że mamy potężną obsuwę, a dalej już szło w najgorsze. Bałam się, co to będzie, bałam się każdego dnia przynoszącego coraz to gorsze wieści aż do najgorszych. Wyłam do księżycy.

Nie chcę epatować nieszczęściem. Było mo-

im udziałem i dlatego wiem, jak bardzo zimny i lepki jest strach, gdy wszystko się usuwa spod nóg. Życie w łęku rozstraja i... poniża. Odbiera siły.

Po całkowitym upadku, po odebraniu nam wszystkiego przez syndyka, po powrocie do Warszawy, do domu mamy, okazało się, że zachowaliśmy to, co najważniejsze – zdrowie i siebie.

Te pierwsze święta po upadku, ubogie, bo i my w biedzie. Moja mama okazała się istotą silną mimo wzrostu wróbelka i wieku. Mówiła nam, jak się spędzało święta za młodu, i że przecież jest wspaniale, bo nie ma zagrożenia wiecznie towarzyszącego mamie i jej pokoleniu. Nie ma lęku o życie, nie ma wojny, okupacji, obozów zagłady, gett i śmierci szalejącej wkoło. A że mamy ubogo? Oj tam! Ubogo! W okupację mama była już sierotą, (jej mama zmarła na raka, ojca rozstrzelano na Pawiaku) bywało, że ona nawet śledzi nie znalazła, że było marnie ze wszystkim. A my mamy dach nad głową i siebie!

To były wspaniałe święta. Prawda – ubogie. Nie włączyliśmy się w szaleństwo zakupów i prezentów, które zdominowały duchowy wymiar Wigilii. Byliśmy refleksyjni i uważni. Czegoś nas to bankrutstwo nauczyło.

Wigilia jak obrzęd, z natury powinna być wieczerną ubogą, więc wcale nas to nie zdolewało, że jest cienko, a przeciwnie, doceniliśmy to, że siedzimy w domu mamy w ciepłe, w powiększonym gronie, bo była mama i siostra mamy, i jej cioteczny brat, mój ukochany wujo, samotny już i mąż, i córka, i narzeczona mojego syna (dzisiaj jego żona i mama mojej wnuczki). I było doprawdy wspaniale, serdecznie i dobrze.

## Minął jakiś czas.

Faktycznie, wywróciło się do góry nogami prawie całe moje życie!

Zmarła mama, wyszła moja powieść dająca mi wiele satysfakcji i oczywistą poprawę życia. Rozwiodłam się bez wojny, zachowując przyjazny kontakt z mężem, zachowałam jedność rodziny i znalazłam nową miłość bardzo daleko.

Trzy lata temu stałam na lotnisku, miałam w rękę bilet do Korei. Leciałam na trzy miesiące, w tym grudzień, a więc i święta.

Może nie był to strach i nie miał wielkich oczu, ale jednak obawa – jak moja dorosła córka, były mąż, syn z synową, poradzą sobie beze mnie? Znaczą... że poradzą, to wiedziałam, ale też że w jakiś sposób zabieram im zwyczajowego dyrygenta świąt, którym od dawna już byłam!

Przychodzi taki czas w życiu, że trzeba oddać pałeczkę młodemu pokoleniu. Zaufać córkom i synowom, że są tak samo wspaniałymi kobietami, gospodyniami jak nasze mamy, może i jak my same, i... oddać im pole! Że nasi synowie, zięciowie, były mąż spiszą się znakomicie, pomagając w domu i robiąc zakupy, bo... dlaczego nie? Są naszymi dziećmi i jeśli nie próżnowaliśmy jako rodzice, wychowaliśmy ich z pewnością fajnie i mądrze! Wszyscy spisali się wspaniale!

I może nie umierałam ze strachu, jak to będzie w Korei, ale oczywiście czułam lekką obawę przed nowym i nieznanym. Nie wiedziałam, że nie znajdę tam solonych śledzi, więc... zasoliłam japońską makrelę kolias w ich zastępstwie. Nie umiałam znaleźć w sklepie żelatyny (źle szukałam!), więc gotowałam rybie lby na galarete, która prawie

się nie zsiadła. Trochę czułam się speszona na Wigiliu u znajomych mojego partnera, Polaków, ale lody szybko pękły i okazało się, że z racji mieszanki narodów Wigilia była ciekawa. Polsko-grecko-koreańska.

Dzisiaj już nie mam żadnych obaw.

Ze wszystkim dałam radę. W Korei spędzam kolejną Wigilię. Umiem znaleźć tu na targu i zasolić śledzie. Kisimy po polsku kapustę (On jest specjalistą!), więc bigos jest wspaniały! W sklepie kupuję cieniutkie płateczki świeżego ciasta pokrojonego w krążki i przesypane mąką, więc uszka, pierożki są łatwe do zrobienia (dziękuję ci, Koreo!). A też ogórki kiszzone (dziękuję ci, przyprawo do kiszzenia ogórków Appetita!), które smakują koreańskim kolegom, jako „polish kimchi”. Ciasta, no cóż, nie można mieć wszystkiego, a TYLKO z polskich szarych renet, może bojenów, a latem z antonówek, polska szarlotka jest taka pyszna! Na makowiec poczekaamy, w zamian zajadając się tiramisu i włoską drożdżową babą bakaliową. Znalazło się tu kilkoro bardzo miłych ludzi, znaczy – towarzystwo jest!

I nie musi być dokładnie tak jak w Polsce. Jest inaczej, ale jest ciepło serdecznie i działa Skype, i możemy zadzwonić do Polski i wyściskać się telefonicznie. I najważniejsze, wiemy, WIEMY na sto procent, że jak tylko On wróci (już niebawem na stałe), jak tylko skończymy budować dom, to w nim będą następne nasze Wigilie, pełne naszych gorących uczuć, śmiechu, dobrych życzeń i gaworzenia wnuków.

I tego właśnie, takiego rodzinnego harmidru, domowego krzątania w miłości i serdeczności sobie i Państwu życzę! ■